

Julian
Waszkiewicz

Aptekarz

(1909–1978)

Fragment książki
materiał promocyjny

e•edu-Libri

print pdf

Julian
Waszkiewicz

Aptekarz

(1909–1978)

e.edu-Libri

Kraków–Legionowo 2024

© edu-Libri s.c. 2024

Redakcja: Dorota Ostrowska-Furmanek

Projekt okładki i stron tytułowych: Anna Gogolewska

Wydawnictwo edu-Libri
ul. Zalesie 15, 30-384 Kraków
e-mail: edu-libri@edu-libri.pl

Skład i łamanie: GRAFOS
Druk i oprawa: OSDW Azymut Sp. z o.o.
Łódź ul. Senatorska 31

ISBN druk 978-83-66395-59-6

ISBN e-pdf 978-83-66395-60-2

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie ... 7

Część 1. Życie ... 9

Dzieciństwo w Lublinie ... 11

Apteka na Targowej ... 31

Wrzesień 1939 ... 40

Okupacja ... 53

„Furmani” ... 74

Czas Powstania ... 93

Na wysiedleniu ... 121

Dni pierwsze ... 126

Część 2. Farmaceuta ... 141

Nostryfikacja dyplomów ... 143

Spółdzielcza Centrala Zakupów Aptekarzy „Unia” ... 149

Tajna Izba Aptekarska podczas okupacji ... 164

Upaństwowienie aptek ... 170

Zabytkowe apteki ... 175

Indeks nazwisk farmaceutów ... 184

WPROWADZENIE

Julian Waszkiewicz (1909–1978) był farmaceutą, właścicielem apteki, człowiekiem bardzo zaangażowanym w sprawy zawodowe, a także udzielającym się społecznie na wielu polach. Jego wspomnienia dotyczą głównie okresu okupacji, koncentrują się wokół życia mieszkańców jego kamienicy na warszawskiej Pradze oraz wokół wydarzeń zawodowych, w których uczestniczył w latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku. Zawierają także dziennik jego żony Ireny, który prowadziła podczas wysiedlenia z Warszawy w 1944 roku.

Ojciec nie był farmaceutą z wyboru, chciał zostać architektem. Ale jako jedyny syn właściciela apteki spełnił oczekiwania rodziców, kończąc studia farmaceutyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Przejął po ojcu aptekę w Warszawie przy ul. Targowej 56 i prowadził ją aż do upaństwowienia w 1951 roku. Unikał jednak pracy za „drugim stołem” – było to miejsce, gdzie wykonywało się leki recepturowe, co dawniej było powszechne w aptekach. Poza zarządzaniem własną apteką zajmował się organizacją pracy aptek warszawskich, problemami zaopatrzenia w leki, działał w stowarzyszeniach zawodowych. Miał interesujące życie.

Wspomnienia ojca obejmują jedynie ciekawsze, według niego, fragmenty życia, nie mają ciągłości. Dlatego miejscami uzupełniłam je własnym tekstem, wyróżnionym kursywą.

Anna Gogolewska, córka Juliana



CZĘŚĆ 1
ŻYCIE

OKUPACJA

Apteka przy Targowej 54 i mieszkanie ojca nad nią stały się przytuliskiem dla mojej rodziny i znajomych, którzy zostali bez dachu nad głową lub – wracając do swoich miast – zatrzymywali się po drodze w Warszawie. Powybijane szyby zastąpiła we wszystkich oknach dykta. Aby choć trochę oświetlić wnętrze pokoju, powstawiłem w dyktę małe szybki z obrazków. Duża fajerkowa koza ogrzewała pokój, a paliliśmy czym się dało. Stare zioła i stopy starych recept poszły na pierwszy ogień. Zima w 1939/40 roku była wyjątkowo ciężka i długo nie ustępowała, więc poszły na opał przepierzenia ze strychu i półki.

Pierwsze zarządzenie okupanta zmierzające do ograbienia mieszkańców podbitej Polski zostało zlekceważone przez ludność – zarządzono oddanie butów narciarskich, nart, mydeł i radioodbiorników. Płonęły więc narty, a wiązania do nart wyrzucano – każdą śrubkę na inny śmietnik. Radioodbiorniki przerabiano momentalnie na adaptery lub utykano po mysich dziurach.

Na strych apteczny z ziołami prowadziły dziwaczne, kręte schody drewniane, przebiegały nad starym wejściem do labiryntu piwnic używanych tylko na węgiel, a następnie po dachu zmywalni. Jeden z ostatnich górnych stopni schodowych

Słuchanie radia
było zabronione.



udało mi się delikatnie wyjąć. Pod nim w blaszanym dachu zmywalni zrobiłem zamaskowane wejście na stryszek nad zmywalnią, który nie był nigdy przez nikogo używany i nigdy nie miał żadnego wejścia. Tam spoczęły na kilkuletni sen narty, radio, no i wielki ładunek mydeł toaletowych ze składu aptecznego. Na formularzu, który był dostarczony przez Niemców do składu aptecznego, wypisałem nieco pojedynczych mydeł najgorszego gatunku, które dla *nomen omen* zamydlenia oczu i zapewnienia sobie spokoju oddałem władzom. Mydła pochowane na stryszku przez całą okupację stanowiły najatrakcyjniejszy prezent imieninowy i gwiazdkowy dla naszych przyjaciół.

* * *

Każdy dom, każde mieszkanie polskie żyło swoim tajnym życiem. Przedwojenne organizacje wojskowe, harcerskie, uczelnie zeszyły do podziemia – poukrywały się w najmniej oczekiwanych dziurach i tam działały.

Moja kamienica przy ulicy Targowej 47 przetrwała działania wojenne. We wrześniu 1939 r. dostała kilka pocisków artyleryjskich, które powyrywały filary międzyokienne na pierwszym i drugim piętrze oraz zerwały fragment dachu i rozwalily

trzy kominy. Kilka małych bomb lotniczych rozbiło fabryczkę mydła i drewniane spichrze na pierwszym podwórzu. Pozostawienie dziur po pociskach groziło katastrofą budowlaną. Parę worków cementu miałem w piwnicy, ale miejscowi murarze nie mieli czasu, a zażądane przez nich sumy wielokrotnie przekraczały moje możliwości. Gdy ogradzaliśmy z panem Tomaszem Jakubaszkiem, dozorcą domu, zagrożony fragment chodnika, podszedł energiczny młody człowiek i zapytał, czy chciałbym zamurować te dziury po pociskach. Oświadczył, że skończył budowlankę w Poznaniu i że gdyby dostał materiał, to chętnie podjąłby się tej pracy. Zapytałem ile chciałby za te dwa najpiłniejsze otwory. Nowo poznany majster wyciągnął z kieszeni „metr”, wymierzył obydwa otwory i powiedział, że chce 500 zł. Suma za robotę była znacznie niższa od najniższej z uprzednio usłyszanych ofert warszawskich murarzy.

I tak się zaczęło – zaraz po otworach między oknami remontowaliśmy strych, kominy, szopy na podwórku, a także wykonywaliśmy inne prace u sąsiadów. Dobre i serdeczne relacje z majstrem budowlanym Erwinem Dąbrowskim przetrwały wiele lat.

Przeniosłem się od ojca do mieszkania na pierwszym piętrze, wyremontowanego przez pana Erwina. W czasie długich wieczorów po godzinie policyjnej bliżej poznałem życie moich żydowskich lokatorów-sąsiadów. Naprzeciwko mnie mieszkała magister farmacji pani Warm z ojcem i małżeństwem żydowskim z Berlina, którzy byli tam właścicielami dużej drukarni i wydawnictwa książek. Farmaceutka pracowała w aptece na Nalewkach, a uciekinierzy z hitlerowskich Niemiec malowali, niesamowite w kolorycie, obrazeczki ze Starego Testamentu. Ich opowiadania o latach trzydziestych w Niemczech wydawały mi się niewiarygodne. Nikt z nas nie przypuszczał, że wkrótce uwierzemy...

Przeżyłem wzruszającą chwilę, gdy w mieszkaniu na trzecim piętrze zastałem bardzo liczną rodzinę nawijacza nici na papierki siedzącą przy stole i modlącą się przy zapalonych szabasówkach. Przyszedłem tam z młodym, energicznym, postępowym Żydem z sąsiedniej kamienicy, stanęliśmy w drzwiach, żeby nie przeszkadzać. Po chwili zauważyłem na twarzy mło-

Ulica
Targowa 45,
dom sąsiadujący
z kamienicą
Juliana, widok
z 1933 roku.



dzieńca gniew, zapytałem, co go tak zdenerwowało. „Ci idioci modlą się za Niemców, żeby się opamiętali i poprawili”.

Któregoś dnia na podwórku spotkała mnie sześcioposobowa delegacja właścicieli domu przy ulicy Jagiellońskiej, którego rozwalona oficyna była na granicy mojej posesji. Przyszli i prosili, żebym nie zamurowował przejścia, jakie się wytworzyło pomiędzy naszymi posesjami. Tłumaczyli, że niedługo ta cała wojna się skończy, Niemcy zostaną pobici, a my zrobimy na naszych placach pasaż i dalszy ciąg Bazaru Różyckiego. Przyznałem, że to świetny interes i obiecałem, że po wojnie zaraz to zrealizujemy, ale na razie trzeba przeżyć okupację. Radziłem im, żeby zgromadzili zapasy żywności, żeby zabezpieczyli sobie mieszkanie w dzielnicy zamieszkałej przez ludność żydowską.

Tego dnia właśnie wracałem z Izby Aptekarskiej, przed którą wzdłuż ulicy Długiej budowali mur. Majster, który rządził robotnikami, na pytanie, dlaczego budują mur przed samym wejściem do Izby, oświadczył, że to będzie mur getta, że my do Izby Aptekarskiej będziemy mieli schody po aryjskiej stronie muru, a następnie pomostem nad trotuarem będziemy wchodzili na balkon pierwszego piętra domu Izby, który będzie stał już na terenie getta. Opowiedziałem sąsiadom tę smutną wiadomość. Wszyscy, prócz najmłodszego z nich, zapewniali mnie, że getta Niemcy nie zrobią. Gmina żydowska zapłaci, ile będzie potrzeba, a ten mur budują tylko po to, żeby wyłudzić więcej pieniędzy. „Zresztą niech sąsiad splunie trzy razy, żeby tego nie było”. Splunąłem razem z nimi, przy pożegnaniu najmłodszy ścisnął mi dłoń i powiedział: „Może ma pan rację – trzeba będzie pomyśleć o mieszkaniu na wszelki wypadek”.

Nakaz wyprowadzenia się Żydów do getta nastąpił nagle – w październiku 1940 roku. Wędrówka ludności polskiej z dzielnicy przeznaczonej dla Żydów i żydowskiej do getta musiała

się odbyć w krótkim czasie. Wszyscy lokatorzy mojego domu musieli się przesiedlić. Właściciele sklepów mogli przychodzić do nich i nadal je prowadzić, bo getto nie było jeszcze zamknięte. Panował tam ożywiony ruch handlowy, a drobna wytwórczość nadal zaopatrywała miasto w swoje wyroby.

Szesnastego listopada Niemcy zarządzili zamknięcie bram getta dla ludności żydowskiej. Od wczesnego rana funkcjonariusze niemieccy pieczętowali wszystkie żydowskie sklepy pozostałe jeszcze po stronie aryjskiej. Gdy komisja zabierająca sklepy doszła do mojego domu, wyszedłem z panem Tomaszem na ulicę i zgodnie oświadczyliśmy, że mydlarnia należy do Zielińskiego, o którym wiedzieliśmy, że miał z panem Wolfem Rowińskim (faktycznym właścicielem) jakieś kontakty handlowe. Zapewniliśmy, że sklep z papierami i galanterią, mieszczący się po drugiej stronie bramy (Józef Kanclerz, dozorca z sąsied-

Budowa
muru getta
warszawskiego,
1940.





CZĘŚĆ 2
FARMACEUTA

DNI PIERWSZE

Gdy przez Kiernozię przeszła linia frontu i nie dochodziły już odgłosy wystrzałów, 20 stycznia 1945 roku ruszyłem z powrotem do Warszawy, piechotą. Szedłem pod prąd, wzdłuż szosy po bezdrożach, bo drogi zajmowało wojsko radzieckie bez wytchnienia podążające na zachód, do Berlina. Minąłem Sochaczew, Błonie, zobaczyłem krańce Woli. Zapadał zmierzch, nogi bolały... Wtedy zauważyłem pustą ciężarówkę radziecką wracającą z zachodu, z frontu. Co chwila przystawała, nie mogąc przedostać się przez masy wojska. Wskoczyłem bez trudu, nie wiedziałem, dokąd jedzie, wystarczyło, że widziałem coraz bliższą Warszawę, jeszcze w dymach dopalających się domów. Na jezdniach zerwane bruki, resztki barykad, góry gruzu odgarnięte ze środka jezdni. Wolska spalona, Towarowa spalona, Aleje Jerozolimskie spalone, Żurawia spalona... Gdzie on mnie wiezie? Ja chcę na Pragę, ale mosty były wysadzone jeszcze przed moim wyjściem. Na placu Trzech Krzyży ciężarówka zwolniła, wskoczyło kilku mężczyzn – pierwsi żywi warszawiacy, których zobaczyłem, bo martwych po drodze widziałem wielu...

Jeden z przybyłych miał opaskę na ramieniu, biało-czerwoną! Jedziemy Książęcą w dół, czyli dobrze, na Pragę. Pod wiaduktem mostu Poniatowskiego setka samochodów czekających na przejazd mostem pontonowym. Żołnierze sprawdzają

dokumenty, wielu ludzi spędzają z samochodów, niektórych zostawiają. Nie wiedziałem, jak mnie potraktują. Nagle wszystkie samochody ruszyły jednocześnie. „Skoriej, skoriej” – poganiają, żeby rozładować zator. Jechaliśmy bez zatrzymania, aż do Ronda Waszyngtona, tu się pożegnaliśmy. Uścisk ręki za podziękowanie.

Na Pradze potrzaskane dachy, wybite szyby, ale ludzie są. Mniej ich niż trzy miesiące temu, gdy stąd uciekałem, ale to dopiero trzy dni, jak Niemcy opuścili Warszawę. Zamoyskiego, Grochowska, Targowa, ludzie mieszkają, nawet niektóre sklepy otwarte. Nie do wiary! Mój dom na Targowej 47 ocalał. Z mieszkania szabrownicy wynieśli wszystko. Zostały meble, łóżka nawet z materacami. Bez okien, bez drzwi, trudno zanocować – jest styczeń. Pierwszą noc przespałem w mieszkaniu pani Tomaszowej Jakubaskowej, której mąż był dozorcą naszego domu. Od niej dowiedziałem się, że ojciec mój żyje, że nasza apteka z mieszkaniem ojca spaliła się razem z Bazarem Różyckiego od pocisków artylerii niemieckiej. Ojciec został ewakuowany do Wołomina.

Że w mieszkaniu nie zostało nic, to już wiedziałem. Miałem nadzieję, że w piwnicy z węglem ocalała skrzynka ze zdjęciami, pamiątkami rodzinnymi i planami rozbudowy domu oraz zbiorem znaczków pocztowych, starych banknotów i monet, których zbieranie sprawiało mi dużą przyjemność. Ale to też straciłem. Jakieś bydlę przepiłowało ukrytą kłódkę pierwszej nocy, gdy już nocowałem na Targowej – straciłem wszystkie pamiątki i dokumenty, dla niego bezwartościowe...

Dziwnie czułem się w pożyczonym, dziurawym ubraniu, bez pieniędzy (bo te, które przyniosłem z za Wisły tu nie miały wartości) w mieście, gdzie nigdy mnie na niczym nie zbywało...

Rano, była to sobota, ruszyłem oglądać Pragę. Bazar nie istniał. Wśród resztek wypalonych straganów sterczały mury

apteki i mieszkania ojca, gdzie spędziłem szkolne i studenckie czasy. Ten widok spowodował we mnie bolesne uczucie osobistej krzywdy. Przecież cała Targowa ocalała, tylko ten jeden najmniejszy dom musiał się spalić aż do piwnic. W pokoju ojca ocalała wmurowana w ścianę żelazna kasetka. Wiedziałem, że jest pusta, jak moja kieszeń – niech się jakiś kasiarz nabierze.

Zły los uwziął się na praskie apteki. Z apteki mgr. Leona Magotta, która mieściła się w parterowym domku przy ulicy Brukowej, pociski zerwały dach. Bezradną panią Magottową, wdowę po mgr. Leonie Magocie zmarłym przed kilku laty, zastałem w narożnym lokalu w kamienicy naprzeciwko. Był to lokal przydzielony aptece przez istniejącą już na Pradze władzę. Stały tam prymitywne knajpiane szafy i szynkwasy po restauracji „tylko dla Niemców” prowadzonej przez jakiegoś folksdojczaka. W kuchni przy ciepłym piecu i talerzu pysznej zupy ziemniaczanej dowiedziałem się od pani magistrowej, że i na naszą aptekę został przydzielony lokal w sąsiedniej kamienicy – na Targowej 56. Dowiedziałem się również, że czteropiętrowy dom na Żąbkowskiej, w którym mieściła się apteka i mieszkanie mgr. Stanisława Biele, został zburzony pociskiem z wyrzutni raketowej („szafy”). Zaraz się tam udałem. Frontowa część kamienicy była zburzona do piwnic.

Mgr Stanisław Biele przeprowadził się do niedawno poślubionej żony Celiny na ulicę Radzymińską. Ich mieszkanie na II piętrze było niezniszczone, dostatnie urządzone, stół nakryty czystym obrusem, ludzie porządnie ubrani – to wszystko onieśmiało mnie, obdartusa w dziurawej kapocie. Zażenowanie jednak szybko minęło, rozwiał je serdeczne przyjęcie i radość, z jaką zostałem powitany. Osobliwe to było mieszkanie – stanowiło centrum odradzającej się farmacji. Tu się meldowali wracający do Warszawy farmaceuci i pracownicy Wydziału

Farmaceutycznego UW. Na tapczanie rozłożone były podania o przyjęcie na studia. Przy stołach i kredensie urzędowała Izba Aptekarska. Tu organizowała się pierwsza hurtownia farmaceutyczna i centrum informacji o lekach. Wszystkie krzesła były zajęte przez interesantów. Kuchnię i stołowy oblegali głodni znajomi i nieznajomi.

Pierwsze pytanie skierowane do mnie było: „Co robisz?”. „Nic”, bo nie mogłem zająć się odbudową apteki bez ojca, który jeszcze nie wrócił z wysiedlenia. Zresztą nie miałem nawet jednej „lubelskiej” złotówki. Lokal, który nam przydzielono, wymagał generalnego remontu, w tym murowania ścian, co było niemożliwe w taki mróz. „Skoro nic, to dobrze” – usłyszałem. „Jutro jesteś nam bardzo potrzebny. Idziemy z ramienia Izby Aptekarskiej na drugą stronę Wisły zabezpieczać przed szabrem pozostałe apteki i spisać, które uległy zniszczeniu”.

Noc postanowiłem spędzić w naszym mieszkaniu, bo w piwnicy zachowały się wewnętrzne okna, które założyłem, a gospodarz z Zagościńca – spodziewając się, że mogę wrócić – przywiózł, zakopane przed wyjazdem, trzy nasze kołdry. Rozpalenia w piecu nie ryzykowałem, bo na dachu sterczała tylko resztką zwalonego komina. Na środku pokoju leżała góra gruzu i tynku, ale ja pławiłem się w luksusie na własnym materacu przykryty trzema kołdrami.

* * *

Rano spotkaliśmy się na ulicy Ratuszowej, z której było wejście na drugi most pontonowy. Było nas siedmiu farmaceutów z przepustkami w języku rosyjskim i polskim, gdzie napisano, że mamy prawo przejść do Warszawy tym mostem. Po sprawdzeniu przepustek poszliśmy wpatrzeni w upiorne pogorzelnisko Starówki. Gdy byliśmy w połowie mostu, puszczonego strumień samochodów z Warszawy. Zanim zdążyliśmy pomy-

Most
pontonowy
przez Wisłę
u wylotu ulicy
Kłopotowskiego,
1947.
Widok w stronę
Pragi.



śleć, dwóch „bojców” bez pardonu zrzuciło nas z mostu na lód, szczęśliwie nie do przerębla. Ruszyliśmy dalej na piechotę po lodzie, w wodzie, która sięgała powyżej kostek. Na brzegu rozdzieliliśmy się na dwie grupy. Biele, Dobrut i ja skierowaliśmy się w górę Wisły, a pozostali w stronę Żoliborza. Żeby rozgrzać nogi, maszerowaliśmy szybko, w kierunku Starego Miasta. Trzeba było poruszać się drogami przetartymi przez wojskowe wozy lub wydeptanymi w śniegu ścieżkami. Zboczenie ze szlaku groziło śmiercią – teren był nierozminowany. Nad głowami sterczały wypalone resztki ścian, z piwnic wydobywał się jeszcze dym, czuć było swąd tłących się ciał i mdlący zapach rozkładających się trupów.

W swojej wędrówce zajrzeliśmy na Długą 16, gdzie w domu PPTF* mieściła się w czasie okupacji tajna Izba Aptekarska i gdzie mimo rozkazu likwidacji wydanego przez Niemców pracowała nadal założona 1937 roku spółdzielcza hurtow-

* PPTF – Polskie Powszechne Towarzystwo Farmaceutyczne.



W aptece
Zygmunta
Kulwiecia
na Powiślu, 1944.
Od lewej :
Zygmunt Kulwieć,
Jerzy Kulwieć
(syn Zygmunta),
Krystyna
Bujakowska
(kuzynka,
pracowała
w aptece),
Julian Waszkiewicz,
Jerzy Waszkiewicz
(syn Juliana).

nia farmaceutyczna „Unia”. Dom został wypalony doszczętnie. We frontowej bramie znaleźliśmy parę aptecznych naczyń z reszkami wypalonych proszków, leżały w beładzie, widać było, że towar wynoszono w pośpiechu. Jak się później dowiedziałem, hurtownia ta (nawiasem mówiąc, byłem inicjatorem jej powstania) przez cały czas walki na Starówce zaopatrywała powstańców i ludność w leki.

Na Starym Mieście nie ocalała żadna apteka. Na Krakowskim Przedmieściu apteka Wendy (podczas okupacji niemiecka) była wypalona dokumentnie. Na Powiślu zastaliśmy mgr. Zygmunta Kulwiecia, mojego teścia, w rozbitym wnętrzu swojej apteki przy ulicy Leszczyńskiej. Wydobywał spod gruzu ocalałe przedmioty. Był bardzo rozdrażniony. Pokazywał nam schron, z którego Własowcy go wyciągnęli i, ograbiwszy, zawlekli do obozu w Pruszkowie. Ze zburzonego domu, w którym

mieściła się apteka, zachował się fragment ściany od strony podwórka, a w tej ścianie we wnęce na głębokich półkach leżały nietknięte przez ogień grube tomy Farmakopei* i podręczniki farmaceutyczne, a za nimi kilkanaście niezbitych naczyń aptecznych i moździerzy. Stanowiły one skromny zaczątek, po raz trzeci odbudowywanej przez mojego teścia apteki. Nasza komisja musiała podążać dalej. Teściowi dałem około 150 nowych złotych pożyczonych od Bielego i 15 000 złotych „krakowskich”, tutaj już nieważnych. Poprosiłem, aby niezwłocznie udał się do Kiernozi do mojej żony, by za wszystkie uciulane przez nas pieniądze kupiła towar apteczny w łowickiej hurtowni farmaceutycznej, aby mieć z czym zaczynać pracę w aptece.

Wszystkie apteki na Powiślu były spalone. Ocalała dopiero apteka przy ulicy Nowy Świat 18/20. Piękne gotyckie szafy stały puste. Na podwórku aptecznym leżał na zaimprovizowanych noszach trup długoletniego laboranta aptecznego – nazwiska nie pamiętam. Przez otwarte drzwi i wielkie frontowe okna bez szyb mógł wejść każdy. Mieliśmy polecenie ocalać apteki zabezpieczyć przed szabrownikami, łatwo było takie zarządzenie wydać, lecz wykonać nie sposób. We frontowej izbie trzy wielkie, prawie do chodnika sięgające okna bez szyb i wyłamane drzwi. Szukaliśmy z mgr. Biele jakichś okiennic, w które większość sklepów przed wojną się zaopatrzyła, ale nie było niczego, nawet kawałka deski, żeby nią zagrodzić chociaż wejście. Chcieliśmy zatarasować drzwi jakąś mniejszą szafą, ale byłoby to bezcelowe, gdyż okna nadal stałyby otworem.

Bezradni ruszyliśmy dalej w stronę Szpitalnej. Tu, apteka założona przez mgr. Podbielskiego, a ostatnio odkupiona

* Farmakopea – kodeks apteczny, urzędowy spis leków dopuszczonych w danym kraju. Określa podstawowe wymagania jakościowe oraz metody badań produktów leczniczych i surowców farmaceutycznych.



Apteka przy ulicy Szpitalnej 4 w 1939 roku. Po upaństwowieniu w 1951 roku jej kierowniczką została Irena Waszkiewiczowa, żona Juliana.

od jego spadkobierców przez mgr. Eugeniusza Ferensteina, była nietknięta. Masywny dom, zbudowany solidnie przed samą wojną przez Jana Wedla, miał tylko powybijane szyby. W jego piwnicach mieścił się w czasie Powstania sztab wojsk powstańczych. Apteka była cały czas czynna. Prowadzili ją magistrowie Halina i Jan Włodarczykowie. Z tej apteki Niemcy wyprowadzili po Powstaniu Jana Włodarczyka i ślad po nim zaginął. Zwijana krata na wejściu do apteki była przez szabrowników wygięta. W podwórku kręcił się już dozorca domu, ucieszył się na mój

Marszałkowska 72,
w narożniku
wejście
do apteki –
na pierwszym
piętrze nad
apteką powstało
Muzeum Farmacji,
które współ-
tworzył Julian
Waszkiewicz
w latach
siedemdziesią-
tych XX w.
Obecnie
przeniesione
na ulicę Piwną.



widok i wręczył mi, powierzone sobie, zapasowe klucze do drzwi tylnych apteki. Dziwne to uczucie otwierać skomplikowane zamki do lokalu właściwie otwartego od ulicy. Niemniej klucze się przydały. Dzięki nim mogliśmy od środka przy pomocy wielkiego drąga wyprostować kratę od frontowych drzwi i zamknąć ją w przemyślny, ale gwarantowany sposób. Zmęczenie opłaciło się, pozostałe resztki leków ocalały oraz całe umeblowanie apteki.

Na rogu ulicy Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej ocalała apteka mgr. Rawskiego. Jak wszystkie niespalone apteki warszawskie, była przez Niemców opróżniona z towaru, który zasiliał hurtownię farmaceutyczną zorganizowaną przez folksojczka Fuldego w Łowiczu. Nienaruszone okna były mocno zabite deskami i zasłonięte kratami, tylko tylne drzwi w bramie domu stały otworem. Ten lokal z pozostałymi resztkami magi-

sterskiej fortuny udało nam się zabezpieczyć tak dokładnie, że właściciel po powrocie musiał dostać się do wnętrza przez wyłamanie kraty we frontowym oknie. Sposób zabezpieczenia przez nas był dość prosty: wyjęliśmy z zawiasów jedne z drzwi między pokojami, oparliśmy je od wewnątrz o drzwi. Z chwilą gdy zamknęliśmy je za sobą, powstała zaporą nie do pokonania przez żadnego szabrownika, a nawet właściciela.

Apteka przy ulicy Marszałkowskiej 72, również ewakuowana przez Niemców, ocalała. Trudno było się do niej dostać, bo zastawiona była wozem tramwajowym, w którym rozgościła się garkuchnia. Ale dowiedzieliśmy się, że ktoś z personelu apteki już się zgłosił i nią zajął.

Na ulicy Złotej ocalał lokal i szafy apteki, na zapleczu leżała przewrócona na bok szafa ubraniowa, w którą wciśnięta była kozetka z pokrwawioną pościelą. Zginął tu magister dyżurujący w czasie powstania. Jego zwłoki pochowali sąsiedzi, którzy wrócili dzień wcześniej przed naszym przybyciem. Znaleźliśmy w tej aptece dużo wartościowych książek Kossak-Szczuckiej i innych – zabezpieczyliśmy je przed zniszczeniem przez wrzucenie do dziury między szafami.

* * *

W tym miejscu Julian Waszkiewicz przerwał i już nigdy nie wrócił do pisania wspomnień... Doprowadzę je w wielkim skrócie do 1978 roku, kiedy to odszedł od nas w wyniku udaru mózgu, w wieku 69 lat.

Po wojnie rodziny Waszkiewiczów i Kulwieciów mieszkały przy Targowej 47. Kamienica była także schronieniem dla wielu bezdomnych członków rodziny i przyjaciół powracających do Warszawy. Kazimierz i Julian Waszkiewiczowie odtworzyli swoją aptekę w lokalu po niemieckiej knajpie przy

Ulica
Targowa 56
z szyldem
apteki Juliana
Waszkiewicza,
1947.



ulicy Targowej 56. Funkcjonowała znakomicie, ponieważ Praga była wtedy centrum Warszawy.

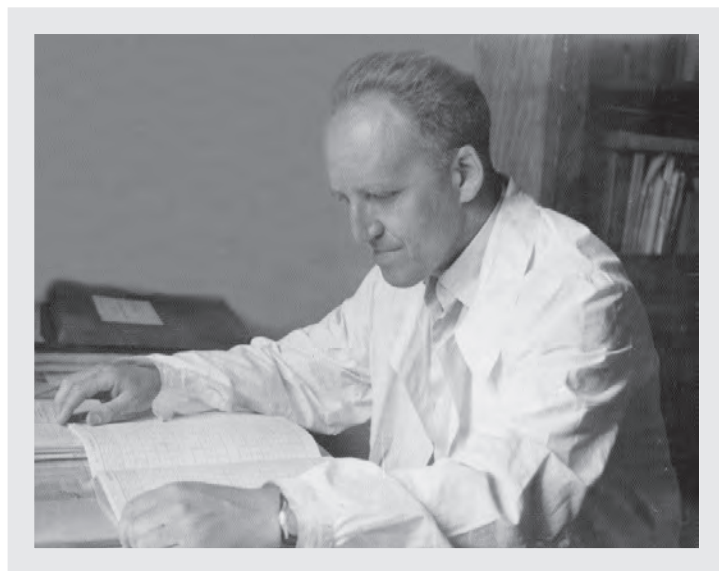
W 1947 roku zmarł Kazimierz Waszkiewicz i Julian został samodzielnym właścicielem apteki i kamienicy przy Targowej 47. Na jej podwórzu wybudował dwie jednopiętrowe

Słoiczek z etykietą apteki na Targowej
„K. Waszkiewicz i Syn”.
Nawet tajemnicza zawartość
się zachowała.





Apteka przy placu Szembeka – Julian Waszkiewicz został jej kierownikiem w 1951 roku po upaństwowieniu aptek.



Julian Waszkiewicz w aptece przy placu Szembeka, lata sześćdziesiąte XX wieku.

murowane oficyny, które wynajął drukarni, introligatorni i spółdzielni garbarskiej. Zarabiane w ten sposób pieniądze miały umożliwić remont kamienicy. Tymczasem rozpoczął budowę willi na Saskiej Kępie dla rodziny. Wszystkie plany przekreśliło upaństwowienie aptek, a także kamienicy – w 1951 roku. Dom na Saskiej Kępie nie był jeszcze skończony, ale dało się w nim zamieszkać, więc rodziny Waszkiewiczów i Kulwieciów tam się przeprowadziły.

Ósmego stycznia 1951 roku właściciele aptek musieli je opuścić, pozostawiając nawet osobiste rzeczy. W ten sposób Julian stracił bibliotekę (nie chodzi o mebel, tylko o jego wspa- niałą zawartość!) odziedziczoną po krewnym, którą chwilowo przechowywał w aptece, czekając na koniec budowy domu na Saskiej Kępie. Właściciele nie mogli pracować w swoich daw- nych aptekach. Julian został kierownikiem apteki na placu Szembeka, jego żona Irena przy ulicy Szpitalnej 4.

Julian
Waszkiewicz
w towarzystwie
pań farmaceutek,
lata siedem-
dziesiąte XX wieku.



Julian przeszedł na emeryturę w 1974 roku, ale nie do końca pracował w aptece. Zawsze bardziej go interesowało usprawnianie pracy farmaceutów i jej organizacja niż samodzielne przygotowywanie pigułek. Ostatnie lata pracy spędził w Zarządzie Aptek jako inspektor w dziale lokali aptecznych. Nadzorował budowę nowych aptek, zasiadał w Komisji Opakowań, uczestniczył w tworzeniu Muzeum Farmacji i urządzaniu apteki-muzeum na Krakowskim Przedmieściu 19. Poza tym był bardzo aktywnym szefem Oddziału PTTK Lekarzy i Farmaceutów, w ramach którego organizował wycieczki autokarowe po Polsce i krajach demokracji ludowej.

Do końca życia mieszkał z rodziną w domu na Saskiej Kępie w Warszawie. Nie mógł uwierzyć, że nie wróci przedwojenne życie, że system się utrzyma. Ale strat nie rozpamiętywał, był człowiekiem pogodnym, dowcipnym i bardzo towarzyskim.



Dom przy ulicy Walecznych na Saskiej Kępie, Warszawa 2004.

Julian Waszkiewicz (1909–1978) był farmaceutą, właścicielem apteki, człowiekiem bardzo zaangażowanym w sprawy zawodowe, a także udzielającym się społecznie na wielu polach. Jego wspomnienia dotyczą głównie okresu okupacji, koncentrują się wokół życia mieszkańców jego kamienicy na warszawskiej Pradze oraz wokół wydarzeń zawodowych, w których uczestniczył w latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku. Zawierają także dziennik jego żony Ireny, który prowadziła podczas wysiedlenia z Warszawy w 1944 roku.

www.edu-libri.pl

Wydawnictwo **edu-Libri** jest oficyną wydawniczą publikacji naukowych i edukacyjnych. Współpracujemy z profesjonalnymi redaktorami merytorycznymi i technicznymi z dużym doświadczeniem w przygotowywaniu publikacji specjalistycznych. Stawiamy na jakość łączoną z nowoczesnością, a najważniejsze dla nas są przyjemność współtworzenia i satysfakcja z dobrze wykonanego zadania.

Nasze publikacje (drukowane i elektroniczne) są dostępne w księgarniach stacjonarnych i internetowych oraz w czytelnich on-line ibuk.pl, osbi.pl i nasbi.pl – szczegóły na stronie wydawnictwa.

